

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następne po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stepowego.

Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha przy placu dykasteryalnym pod l. 41.

Mistycyzm w poezyi.

(Ciąg dalszy.)

IV. Przyczyny i skutki.

Tak tedy jak widzimy, Adam Mickiewicz, Seweryn Goszczyński i Bohdan Zaleski, te trzy najgłówniejsze i najwięcej znaczenia mające głosy pomiędzy wieszczami naszymi, lub zamilkły, lub tylko prozą czy wierszem zmagają pobożne modlitwy. A wszystkich trzech umysł zajął niezaprzeczonego mistycyzm, czy pojawiony mistyczną modlitewką, czy gonitwą jeszcze mistyczniejszą za jakimiś utopijami polityczno-religijnymi, czy nareszcie jakimś ekscentrycznym trapizmem, jakąś prawdziwą chorobą, zwracającą i wzrok i siły, z przyrodzenia na zewnątrz dążące, w siebie, w wewnątrz, chorobą, którąby słusznie można nazwać miserere moralne.

Przyczyny tych przemian mniej więcej są dotykalne bardzo. Główną między niemi jest niezaprzeczenie tęsknoty, która każdemu zda się znać, i każdy pod tem nazwiskiem rozumie uczucie smutne ale poetyczne, uczucie trochę melancholijne, trochę romansowe. A nikt nie zna tęsknoty z mówiących o niej; tylko ci znają, ci znać mogą, których los rzucił daleko od ojczyzny, i do niej wrócić żadnego uczciwego nie zostawia podobieństwa. Cierpienie tęsknoty niejeden już dowód dali Szwajcarów łzy, obłąkania i samobójstwa. Zbierz do jednej zagrody ztęsknionych za krajem, by marzyli i radzili o powrocie do niej, a po krótkim czasie znajdziesz dom obłąkanych! Tęsknota, to najokropniejsza ze wszystkich chorób, to najstraszliwsza ze wszystkich ran. Na chorobę każdą wierzysz, że jest lekarstwo, szukasz go, próbujesz, i za każdym nowym lekarstwem pewien jesteś, że to już to, które ma chorobę zniszczyć, ranę zagoić, i w rzeczy samej natrafiasz na nie nareszcie. W tęsknocie za krajem znasz naprzód, że jest jedno tylko lekarstwo, i wiesz naprzód, że żadna potęga ludzka nie zbliży cię do tego lekarstwa! Z raną okropną z której ci najczarniejsza sączy się krew serca, wyciągasz oko, głos, uśmiech, dłoń, żyły wszystkie! wyciągasz! po co? po garstkę ziemi rodzinnej, by ją do rany przyłożyć! Darmo! To jest okropnie! A więc umrzeć! jedyna nadzieja! I tej brakuje tęsknocie za krajem, bo żywy chcesz ucałować ojczystą ziemię, umarły, chcesz leżeć ojczystym przykryty kopcem! Nadaremnie! Dante w swem piekle nie podobnie okropnego nie wymyślił. Bo Dante wiedział, że wróci nazad na ziemię!

Przejdź to wielkie miasto, przebiegnij całą Francją, a gdzie zdybiesz bolem napiętnowane twarze, to będą twarze wychodźców naszych. Pod kołpakiem żołnierza, w bluzie robotnika, w modnym stroju podróżującego ajenta handlowego, przy stole bankiera, przy uczcie wesołej, a nawet pod brudem systematycznie rozpaczliwego poniżenia się moralnego, oko wprawne a poczciwe, dojrzy tego rysu tęsknoty, który jak znamię ogniem wypieczone, nigdy nie ginie, i nadaje tym twarzom wychodźców, rozmaicie przez życie praktyczne pozmienianym i pokrzywionym, jedną cechę, szlachetniejszej myśli. Od lat dwudziestu, ileż to przykładów smutnych stwierdziło słowa nasze! Ile to znanych nam nazwisk przeczytaliśmy już z dodatkiem: samobójca! obłąkany!

Do tej głównej przyczyny, ileż to innych przyłożyć się mogło powodów osobistych, które taki a nie inny wywarły wpływ na naszych trzech wieszczów.

Mówiąc o Bohdanie Zaleskim dotknęliśmy onych z psychologicznej strony.

A na Adama Mickiewicza ileż to mogła oddziaływać tak okropna słabość żony; widok kobiety ukochanej w obłąkaniu. Obłąkanie, ten stan niepojęty, pełen mistycznych tajemnic natury, jakże silne mógł robić wrażenie na drgający wyobraźnią gdyby iskrami elektrycznymi umysł poety. A te walki polityczne rozdzierające łono towarzystwa wychodźców; te rany codzien widziane, codzien nowe, codzien inaczej pojawione. Te kłótnie i nieważkie wzajemne, noszące na sobie cechę wojny domowej, która dla serca prawego, po tęsknocie za krajem, musi być najokropniejszą męczarnią. A wynikający z tych walk i kłótni wstyd przed obcemi, których oczy zimne, obojętne i szydercze palą gdyby sztylety rozpalone. A nędza własna i cudza! A nędzę my w kraju zrozumieć nie potrafimy, bo każdy znajdzie stosowną dla siebie pracę, każdy zdybie, gdzie pójdzie na oslep, współczucie. Ale za granicą nędza własnych krajowców przemyka obok zbytku bogatych niepostrzeżona lub lekceważona przez nich: nędza obcych wzbudza ledwie poruszenie ramion pogardliwe. A pracy, pracy szukasz! pomiędzy setkami tysięcy, ginących zgłodu, bez jutra, krajowców. Czyliż dalej nie mało na Adama wpływu wyrzucić mogły owe nadludzkie natężenia, jakimi musiał zdobywać każdą prelekcję, w obcym sobie języku mianą. Przy najlepszej wiadomości jakiego języka, trzeba spróbować dłuższej jakiej mowy do

zgrupowania choćby o przedmiocie najwięcej znajomym, w tym słuchaczów ale nie swoim rodzinnym języku. Tęsknić za krajem, szukać sposobów by się doń dostać, patrzeć na cierpienie własnej żony, na nędzę ziomków, na ich niesnaski upadające charakter narodowy, przez obcych wysmiane, nateżać umysł bez ustanku i bez ustanku myśleć i marzyć o tej lubej ojczyźnie, i szukać sposobu, szukać i szukać bez końca, po ziemi i niebie, a choćby aż w piekło pójść, lub z nadpowietrznych eterycznych wydymać sfer! Ileż to powodów do mistycznego milczenia naszego Adama Mickiewicza!

A ta siła fizyczna i moralna, w wysokim obie stopniu, połączone w jednym człowieku, pełne szlachetnego w jeden cel wyteżenia, działające bez przerwy, i działające nadarmo, nie jestże to olbrzymie cierpienie! Ta pewność siebie, jaką każdy człowiek ciałem i umysłem silny mieć musi o sobie, jeżeli we wszystkich obrotach na jakie się tylko i duch i ciało zdobyć mogą, okaże się niczem, marnością, słabością, próbą dziecka chcącego dom ogromny powalić; nie możesz to umysł rozjątrzony gniewem, rozżalony tęsknotą, przyprowadzić do najekscytryczniejszych pojawów? I po długiej walce na zewnątrz przysięść, musi nareszcie chwila, w której ustaje wszelka nadzieja, ludzkim językiem zrozumiana, ludzkim umysłem pojęta. Tłuc z całej siły, z całym nateżeniem o żelazne kraty, zużyje najsilniejszą organizacją. I musi przyjść rozpacz, skończona samobójstwem, lub reakcją jakąś. Ta reakcja w takich razach bywa okropna, i tem przeciwniejsza dawnemu stanowi, im daremniejsze były wszystkie dawne usiłowania. Tym sposobem najprawdopodobniej jeszcze wyobrażamy tę nadzwyczajną przemianę zaszłą w tak tęgiej, jędrnej i żyłastej przyrodzie Seweryna Goszczyńskiego. I w nim jednym, zdaje się nam, pacierz choćby prozą mówiony, choćby z częstochowskiej książki czytany, musi być najpoetyczniejszy. Bo przy takim jak jego usposobieniu, wszystka poezja którą dusza jego przez lat tyle przepełniona była, i którą tak dzielnie i energicznie z siebie wyrzucał, wśzystka ta poezja nie znikła, ale wybiega jedyną pozostałą drogą, modlitwą.

Przebiegłszy trzech najgłówniejszych wieszczów naszych, przejdźmy teraz do innych więcej znanych poetów naszych, w których zdybać można podobne symptomy mistycyzmu i religijności bezwarunkowej! (D. c. n.)

ŻALE DYDONY.

Sama! sama!... co się stało...
Słońce wzeszło, i skonało,
Za ocean, za daleki...
Sama, sama — ach, na wieki!

Po coś wzeszło słońce lubo,
By wypatrzeć w świetle zgbę?

O, jak słodko żyć w promieniu,
Jak boleśnie wędznąć w cieniu!

Płyną żale w świat szeroki,
Dusza rwie się pod obłoki,
Dla mnie ziemia czarna smuga,
Ach, a życie nocą długą.

Eneaszu, o mój drogi,
Po coś wstąpił w moje progi?...
Ród Danaów zburzył Troję,
A tyś zburzył szczęście moje.

Wszystko o mnie zapomina...
Przebóg, jakaż moja wina?
Eneaszu, powiedz śmieie,
Czy zabrakło duszy w ciebie?

Wszystko moje dałam tobie;
Weź je sobie, weź je sobie!
Tylko wróć mi pokój duszy,
I ten żywot bez katuszy.

Eneaszu, bądź szczęśliwy,
I ty chłopcze urodziwy...
Niech wam życie cicho płynie,
Jako rzeka po równinie.

Eneaszu, ach okrutny,
Co cię trzyma, czegoś smutny? —
Ha, wezwanie słyszysz morza?
To, nadziei wschodzi zorza.

W niebo, w niebo przez nadzieje...
Życie szczęściem promienieje;
Czemuś smutny, co cię trzyma?
Ach, w mych oczach łez już niema.

Sama, sama, opuszczona,
W sercu, w duszy zakrwawiona.
Ciężko, smutno, coraz nudniej,
A żyć trudno, przeżyć trdniej.

Pójdź ljułu, niech popieszcze,
Niech podumam chwilke jeszcze;
Wspomnij tam w ojczyźnie nowej,
O Dydonie, o królowej.

Bądźcie zdrowi!.. ja nie mogę...
Bieźmy każde w swoją drogę —
Życie w walce z szczęścia wrogiem,
Nie zaley mi odlogiem.

Wiatry wieją, łódź gotowa...
I skończona gry połowa;
Ach, a druga, w szczęście tobie,
Dokona się na mym grobie.

J. Z.

Słowo dane.

I.

Jeden z powiesciarzy naszych, Michał Czajkowski, biegał po całym Paryżu, szukając przedmiotu do powieści, której koniecznie żądano od niego, i zapomniał na wieki,

że bohater, godny jego pióra, zwierzył mu się od dawna, i prosił nawet, aby jego bogdankę w czerwonej sukience piórem swem uwiecznił. W podobnym i ja znalazłem się niedawno położeniu. Chciałem na gwałt napisać jakąś powiastkę, krótką, treściwą! Na co? po co? mniejsza o to! Po prostu napadła mnie ochota, jak to powiadają u nas gorsza niewoli. Szukałem najsumienniej po wszystkich zakątkach mojej wyobraźni, czy nie schwyce jakiej niteczki, z której by się co wysnuć dało. Nadaremnie! Jeździłem nowy Donkiszot, do sąsiadów, przyjaciół, na jarmarki okoliczne, szukając przygody jakiej, a choćby nareszcie awantury, którą by można na powieść rozwałkować. Próżne zabiegi w naszych czasach prozaicznych. Młynów nawet niemogłem wziąć za olbrzymów; bo niemając co mleć, stoją nieruchome. Przychodziło już do rozpacz, gdy nagle, co niepotrafiła gorąca wyobraźnia, to się zimnej udało pamięci.

Przypomniałem sobie opowiadanie pana Augusta, którego los Bóg wie gdzie dziś popędził, a który był świadkiem zdarzeń, tu przezemnie zeszkicowanych. Poznałem pana Augusta po roku 1831. Ileż to w owych latach przemknęło ludzi młodych i żywych, z których każdy coś nam rozpowiadał, czy o sobie, czy o drugich, a rozpowiadał z ogniem, który każdemu wrzał wówczas w młodej piersi. Gdyby pamięci nieco, a więcej jeszcze talentu, niejedną mielibyśmy powieść pełną życia i prawdy!

Pan August, był to poczciwy chłopiec, wyrzucony gwałtownie z kółka towarzyskiego, w jakim żył, i z zawodu jaki sobie obrał; przez jedną noc prawie, z urzędnika stał się żołnierzem, pióro zamienił na lancę, i ruszył w świat szeroki, ciasną ale spokojną porzuciwszy kancelaryą. Czy wrócił kiedy, niewiem. Mówię tu o nim, bo jako świadek czynny nawet występuje w tej powieści; oczywiście jako powiernik. Należał on w rzeczy samej do tych ludzi porządnych, praktycznych, a uczciwych którzy sami przez się romansu nie tworzą, ale za to bywają niewyczerpaną skarbnicą wszelkich romansowych zwierzeń, czynionych im przez przyjaciół i przyjaciółki. Jak on mi te zdarzenia rozpowiadał, już dziś nie pamiętam; musiał zapewne rozpowiadać dobrze i porządnie, bo był i wymowny, i przedwysztkiem lubował się w logicznym porządku. Ja opowiem jak pamiętam, i jak mi przyjdą pod pióro pozostałe w mej pamięci epizody, składające całość powiastki.

II.

Kiedy i gdzie się to działo, już dziś nie pamiętam. Wiem tylko, że powieść ta zrobiła na mnie wrażenie wielkie. Może August dobrze rozpowiadał!... A potem było to w młodości kiedy wszystkie wrzące w piersi uczucia, zbytnią poezią wyrzucając z siebie, gdyby promieńmi słońca ożlącają każdą prozę!..

Młodemu opowiadał młody, w chwilach które goniły

szybko jedna za drugą, między burzą która tylko co przeszła, a nadziejami które sobie tworzone.

Lecz dosyć osobistych pamiątek!... przywaliła je z mnogich zdarzeń uczuć, myśli i odczarowań zsypana mogiła!.

To tedy zostało mi tylko w pamięci, że główne ustępy mojej powiastki odbyły się w tak zwanej kongresówce, w jednym z miasteczek wojewódzkich, na rok czy dwa przed pamiętnym rokiem 1831.

Miasteczko wojewódzkie w Polsce, to jakby nasze miasto obwodowe w Galicyi. Nie stolica to i nie miścina żydowska! Jest w niem zwykle i z jednego i z drugiego trochę. Są pretensye stołeczne obok plotek małomieszczańskich; żydowskie błoto obok lepszego towarzystwa. W miasteczku o którym mowa (a było to już miasteczko znaczniejsze) towarzystwo było liczne, a nawet jak zapewniał August, bardzo dobrane. Naturalnie inaczej mówić nie mógł, gdy należał do niego, i było mu w nim dobrze, bo go wszyscy lubili i kochali, jak się zwykle kocha ludzi spokojnych, potulnych, nikomu w drogę nie zachodzących, ludzi jak to ich nazywają, bez zółci, najczęściej dla tego że są bez dowcipu. Towarzystwo to składało się jak zwykle po takich miasteczkach, z trzech głównie żywiołów, coś podobnie jak poncz szylerski. Rumem jest wojskowość, kwaskiem cytryny rodziny urzędników, a cukrem łagodzącym, domy majątniejszych obywateli, zjeżdżających do takich miasteczek dla zabawy lub wychowania dzieci. Zapomniałem podobno o wodzie. Woda w tej mieszaninie jest żywioł małomieszczański, który zalewa, jednoczy potału i oczywiście wodnistości dodaje całemu trunkowi.

W każdym miasteczku takim, gdzie tedy już jest towarzystwo, bywa zwykle dom jeden prym przed drugimi wodzący. Prym ten nie przyznają czasem wszyscy w zupełnej zgodzie; są nawet nieraz mnogie kłótnie o to, ale niemniej przeto ten dom jeden, zostaje pierwszym domem, właśnie dla tego, że współzawodnicy walcząc przeciw niemu większej jeszcze dodają mu wagi. I mimo wszystkich kłótni, bajek, obmów, zakłęb i przekleństw, pierwsze imieniny, pierwszy bal w tym domu par excellence, sprowadzają przyjaciół i nieprzyjaciół; najczęściej nawet nieprzyjaciele, a raczej nieprzyjaciółki (bo te w tych walkach małomieszczańskich najgłówniejszą odgrywają rolę) właśnie do tych domów stroją się daleko wytworniej, niżeli do wszystkich innych, co samo już dowodzi domu tego arystokratyczne uprawnienie.

Takim domem w naszym miasteczku wojewódzkim był dom sędziostwa Hilarych. Pan Hilary był sędzią ongi, a więc pani Hilarowa była sędziwą. Mieli znaczny majątek, w kilku nawet województwach, co nie mało dodawało splendoru sędziowskiemu tytułowi. Jeżeli dom jaki zasłużył kiedykolwiek by był pierwszym, to pewnie dom sędziostwa, nie dla tytułu i szkatuły, ale dla moralnej wartości obojga. Byli to ludzie poczciwi, pełni cnót obywa-

telskich, w pełnem znaczeniu tego często poniewieranego słowa. Pan Hilary przed sędziostwem swoim podobno nawet gdzieś tam porucznikował, bodaj czy nie koło Dubienki; nie mówił on o tem, bo są rzeczy o których mówić bez łez i rozpaczki trudno, ale w jego całym układzie przebijało coś więcej wojskowego niż prawniczego. Gdy miał coś powiedzieć, nie wdawał się w oratorskie ambages, ale rznął od ucha.

Pani Hilarowa była żona jakich mało. Jest to pochwała nie lada, bo łatwiej daleko być dobrą panią, gospodynią, obywatelką, sąsiadką, uczoną, filantropką, emancypowaną lwicą, i czem to tam jeszcze bywają dziś kobiety, niżeli dobrą żoną. A to dla czego? słyszę mnóstwo pytających a samych cienkich głosów. A jeszcze czego nie stało, żebym na wszystkie odpowiadał pytania. Ja nie maluję moi państwo, ja tylko szkicuję. Jednem słowem było to stadło dobrane; kochali się i godzili we wszystkim. Istny panie raj!...

Każdy raj ma swego niestety węża! Tym wężem wszędzie i zawsze jest to głupie *ale*.

W domie sędziostwa było dwa *ale*.

Jedno *ale*, choć *ale*, było dobre *ale*.

Drugie *ale* było fatalnem *ale*.

I jedno i drugie *ale* mąciło spokój domowy państwa sędziostwa. Dobrym *ale* była Adela, kuzynka bliska, i wychowawica państwa Hilarych, oddana im pod opiekę przez zmarłych Adeli rodziców. Od ósmego roku bawiła w domu sędziostwa. Oboje Hilarowie kochali ją zawzięcie, tem więcej, że własnych niemieli dzieci, i jakkolwiek święta panowała między starem małżeństwem zgoda, przywiązanie do Adelki stawało się nieraz kością niezgody. Po prostu oboje psuli dziewczynę, i to psucie zarzucali sobie nawzajem. Już to po prawdzie lube to było dziewczę. Jasnokie, jasnowłose, a bielutkie, a rumiane jak jabłko; do tego poczciwe z kośćcami, mimo psujących starszków bogobojne, a wesolutkie jak młoda koteczka. Taką była aż do epoki w której się nasza zaczyna powiastka, aż do epoki, w której pojawiło się w domu sędziostwa to drugie, o którym wspomniałem arcyzłe *ale*.

Była niem panna Berli, francuzka z profesyi a guwernantka z przypadku. Czarnobrewa, czarnooka, trochę do cyganki podobna, kosoooka w dodatku, z zadartym do góry noskiem, a zwinna jak fryga, parlowała wiele, a jak na nieszczęście po francusku. Szanowne czytelniczki, co dziś jeszcze, choć się wstydzą nieco, chowają w najtajniejszym serca zakątku zamiłowanie do języka francuskiego, ledwie pojąć mogą, eo to znaczyło przed 1831 rokiem, parlowanie francuskie. Była to słaba strona polskiej szlachty i nie szlachty, a że słaba strona, zawsze w najsłabszą uderza stronę, nasze panie w onym czasie nie mogły dać sobie rady z tą francuzczyzną, która najpoczciwszych nieraz mężów przyprowadzała do staropolskiego, dosyć burzliwe-

go gniewu. Dosyć że panna Berli, znana już w okolicy, bo była w domu hrabiny Elzbiety, i trzy hrabianki wychowała; dostała się do sędziostwa tytułem przyjaciółki. Adela mająca już w ówczas lat dwadzieścia, guwernantki niepotrzebowała, lecz dla akcentu paryskiego, pani Hilarowa póty manewrowała, póki nie wmanewrowała francuzki do domu. Sędzia żonę nadto kochał, by się mógł długo jej oprzeć, to też mimo że żadnego nie miał nabożeństwa do panny Berli, zbył milczeniem sprowadzenie się jej do domu. Od czasu do czasu tylko mruczał stary, i co mu się dawniej rzadko trafiało, wpadał w zły humor, i nieraz niecierpliwił się.

III.

— Cóż ci jest mój Hilary? pytała sędzina męża przy rannej kawie, którą zwykle pijali w wspólnej sypialni swojej.

Pan Hilary popił kawą, to co miał na języku, i dla większej pewności puścił parę wonnych kłębow dymu.

— Nigdy cię nie widziałam tak niecierpliwego? Hilary! milczysz? czy już mnie nie kochasz stary?

To była strona słaba poczciwego sędziego; odkaslnął więc i przemówił.

— Słuchajno Kunusiu! (sędzina miała imię Kunegunda) nie mogę dłużej wytrzymać, bo czuję że to wszystko zły koniec weźmie.

— Cóż takiego?

— Ja nie wierzę w tę francuską edukacyą.

— Zawsze jedno mój Hilary.

— Na co dla Adeli tej francuskiej bony! Czyż ona nie ma już dosyć edukacyi. Dziewczę już dwadzieścia jeden lat dobiega.

— Dziewiętnaście skończyła.

— Zapewne że skończyła! Muzykę posiada; wali po klawicymbale tak biegle.

— To prawda! Adelka jest wirtuozką.

— Niech i tak będzie. Umie malować, i rysować; koniec końców umie co tylko umieć może. Na cóż jej guwernantki.

— Ależ język francuski!

— Czyliż nie papie po francusku doskonale, i nawet podług mnie, lepiej gadała pierwej niż teraz.

— Ale akcent!

— Na jakiego jej tam djabła tego akcentu; już ciż nie będzie w teatrze deklamować.

— Mój Hilary! mężczyźni dzisiejsi żądają dobrego akcentu.

— Chyba osły! ma posag przecie.

— I cóż nareszcie chcesz od panny Berli! cnotliwa bogobojna; czyż nie uważałaś jak się modli zawsze.

— Gębą i po francusku. Słuchaj Kunusiu; ja tam nie siedzę w jej sercu i sumieniu, ale już ciż nigdy nie uwierzę, aby one z sobą po całych nocach prawie, pacierze zma-
wiały.

— Co to szkodzi, że lubią długo w nocy konwersować.
 — Romanse czytają, moście pani. A te głupie romanse, i ta francuska przywłoka w jednym roku zepsuć mogą pocziwe zasady, jakie wpoiliśmy dziewczynie. Patrz na nią, jaka zmieniona teraz; nie podobna do tej dawnej, pocziwej, otwartej i wesołej Adelki.

— Zwyczajnie! lepiej ułożona teraz.

— Chodzi jak bohaterka romansowa.

— Narzekasz Hilary na romanse! a myż przecie także nie dla interesu, nie z potrzeby, nie dla koligacyi pobraliśmy się, ale z romansu.

— To co innego! odrzekł pan Hilary z uśmiechem; myśmy się kochali, a to co innego kochanie pocziwe, a co innego romanse; pamiętaj Kunusiu, abyś kiedy nie miał na sumieniu tej twojej francuskiej fantazyi.

— Ot marudzisz Hilary! odrzekła Kunusia, i ucałowała serdecznie łysawe już czoło.

Na tem skończyło się tym razem, ale pan Hilary miał słusność. Od czasu przybycia w dom tego francuskiego skarbu, Adela mocno się zmieniła. I rumieniec dawny i dawna wesołość znikły gdzieś; i naturalnie bo to nie modne, nie romantyczne. Nocne siedzenie i czytanie romanów porwały i rumieniec i wesołość. Miasto tego, chodziła dziewczyna jak nie swoja; wdychała jakby już tysiąc nieszczęść przeżyła. Oczami dawniej tak lubo, tak swawolnie patrzącemi, przewracała biedaczka, by nadać sobie postawę interesującą, heroiczną. Od ziemi, niegodnej spojrzeń, wyteżała wzrok w sufit, szukając po nim jakichś ideałów, marzeń, dumań i innych tym podobnych niebieskich rzeczy. Dawniej bywało jak siądzie do fortepianu, aż się dusza raduje, gdy utnie rażnego mazura, posuwistego krakowiaka, lub poważnego poloneza; dzisiaj wali po klawiszach, szukając gamów niesłychanych, by oddawały jęki i stęki duszy niepojętej, nie zrozumianej, w wyższe strony dążące. Biedna Adelka! serce ma zawsze pocziwe, ale główka już skrzywiona; marzy bez celu, szuka czego nie znajdzie, czego nawet nie rozumie. Skrzywienie głowy, może przejść do serca, a co najgorzej, może na zawsze skrzywić całą jej przyszłość. (D. c. n.)

Kilka słów o dzisiejszej koncertowej muzyce.

(Ciąg dalszy.)

Egzekucya arcydzieł postępowych stać musi na równi z ich wartością wewnętrzną. Jak nuty są najeżone jakimś kabalistycznymi znakami, tak ich wykonanie również jest kabalistyczne. Słyszałem na koncercie jednego z najgłośniejszych artystów *Ständchen*, a nigdybym temu nie uwierzył bez uroczystego zapewnienia afiszu. Owa melodia cicha, głęboko rzewna, była skrajaną w drobne kawałki a każdy kawałek z inną przyprawą; pierwszy takt lał jak na raku, drugi pędził galopem, trzeci nikał jak

echo za dziesiątą górą, czwarty szumiał jak burza, piąty jeszcze był różny, szósty jeszcze inny, i tak do końca. Nie śmiałem odezwać się z mojem oburzeniem, bo cała publiczność, z małym wyjątkiem, była między aniołami. Dziś niestety, im kto gwałtowniej, choć bez potrzeby, przechodzi od huku do niedosłyszanej nuty, im dłużej pieści się, im pilniej wylizuje każdą, bodaj nie nieznaczącą frazę, tem za ognistszego poetę uchodzi. Deklamacya muzyczna, przez nadanie najdrobniejszej nutce jakiejś *arrière-pensée*, przez narzucenie mnóstwa ckliwych ozdóbek, straciła na sile, na prostocie i na jasności. Wśród tego chaosu bezcelowych *) *ornamentów* trudno odgadnąć myśl zasadniczą: wszystko od początku do końca stoi na równości najdemokratyczniejszej, chociaż, Bóg świadkiem, że wyrzuciwszy tu i owdzie jaką stronnice, jaki okres nawet, nie dojrzy tego najbieglejszy znawca, tak cząstki między sobą mało mają spojności, tak są nieszczęśliwie zbieraną drużyną. Po wysłuchaniu jednego wieczora dziesiątka sztuk takiej natury, czułem zawsze jakieś znużenie, jakiś żal do artysty, że muzykę, której powołanie tak wielkie, tak piękne, poniżył i na bawidełko, albo na artykuł handlowy obrócił. Zapewnie, po wytrzymaniu dzisiejszego koncertu jeden z najznakomitszych u nas mężów zwątpił o egzystencyi muzyki, a drugi przypuścił, że lada kto może być artystą. Przypominam sobie, że rozmawiając raz z *Vieuxtemps*, spytałem go jaki jest stosunek gry N. do gry Szopena; odpowiedział mi na to: *Chez N. il n'y a que la touche, chez Chopin il n'y a que le son*. Nie wiem ile fortepianistom dostała się tajemnica Szopena, ale na nieszczęście, u większej liczby słysząc tylko klawisz.

Gdy fortepian wyrzekał się harmonii właściwej swojej budowie, aby latać za melodyą którą nigdy schwycić nie zdoła, skrzypce odrzucały śpiew a pędziły za harmonią. Jako po mieczu najbliższe Paganiniemu, sfałszowały sobie testament dziwnego Włocha, który niby przyznawał im prawo dziedzictwa, chociaż wiemy dokładnie, że Paganini, jako poeta, umarł *ab intestato*, jednakowoż wielu dobrodusznie uwierzyło, iż Paganinięta wyrosną kiedyś na Paganinich; że zaś nie wyrosli, mamy przekonanie. Ołóż skrzypce, na mocy mniemanego spadkobierstwa, zajęły się pilnie udoskonaleniem fabryki rozmaitych świecidełek; wyroby te były bardzo nieszczęśliwe, lecz że naczelnik cudotwórstwa już nie żył, publiczność musiała przestawać na uczniach. Skrzypce rzekły się potęgi Baillota i Lipińskiego, zaczęły udawać orkiestrę, piłując niemiłosiernie po wszystkich strunach na raz, to znowu przechodząc do sielankowości, przebierały się za flecik i bandurkę, albo dla złączenia śpiewu z harmonią, *deranzowały usui noto Eriköniga* lub *Si oiseau i'états*, z uśmiechem tryunfu plugawiać siebie i muzykę. Karnawał, ów cudowny karnawał

*) Platon w ks. o Prawach powstaje na tych co do głosów ludzkich i instrumentowych mieszają głosy zwierząt i dziecinne ozdóbki.

był zawsze koroną koncertu, a publiczność, co nigdy by symfoni Beethovena drugi raz nieraczyła słuchać, kazała sobie po trzy razy wygrywać weneckie zapusty *).

Tremola, rikoszety, pizzikata i inne modne zabawki za-
biły ton, najpierwszy przymiot skrzypka; *flażoleciki* i *portamenta*, zepsuły dźwięczność instrumentu; nie mówię już o deklamacji, bo ta zupełnie się rozwijała wedle formy przyjętej na fortepianie. Kompozycje skrzypcowe również były niewiele warte. Wśród tego poniżenia sztuki, Szopen uratował fortepian a Vieuxtemps skrzypce. Szopen wychowany na dobrej muzyce, wcześniej znalazł godziwe środki dla swego natchnienia, nie błakał się, nie gonił za modą, ale od razu został mistrzem. Mimo wielkiej oryginalności myśli i wyrażań, nic w nim ekscentrycznego, nic niestósownego do natury fortepianu; każdy efekt przychodzi swobodnie, harmonia jego szeroka, bogata, rozmaita a nieprzeładowana; czuć w niej orkiestrę, widać że mistrz jest w związku logicznym z Beethovenem i Hummlem, że dalej prowadzi zaczęte przez nich dzieło *).

Vieuxtemps nie jest poetą jak Szopen, ale artystą z rodziny Hajdna, Meyerbeera a może Gölhego. W dziełach jego, oprócz niewielu cacek, wszędzie panuje myśl wielka, znajomość głęboka orkiestry i skrzypców. Posądzają go niektórzy o brak uczucia, dla tego właśnie że się nierzuci, nie wyje, nie pieści lada co, i cóż w tem dziwnego? Niedługo w Paryżu Ifigenią Glucka miano za dzieło chłodne, jak potem Don Żuana w Wiedniu; a czyż nawet za naszych czasów, w Kijowie, mało było takich co nad Lipińskiego postawili Haumanna i Artota? Czemuż to? bo Lipiński nie wojuje *tremolami* i *rikoszetami*, które lada szkolarz po półrocznem ćwiczeniu potrafi. Zarzut ten wygląda tak, jak gdyby oskarżano Rubensa, że nie wylizuje obrazów à la Van der Neer albo Van Dycka, że nie tak zręcznie naśladuje mahoń i orzech jak Dubuffe.

Ogólnym grzechem większej liczby dzisiejszych artystów-graczów jest brak wiary i mały szacunek dla sztuki. Zwykle, gdy egzekwują obce dzieła, przyrządzają je po swojemu; jeden z koncertu Romberga wyrzuca połowę a resztę po swojemu przekreśla, inny *pour rendre la fantaisie de Lipiński plus intéressante* najeża ją *pizzikatami* i *trylikami*; jest to nie potwarz ale istna prawda, tego byliśmy świadkami. Wielcy artyści inaczej pojmują świętość sztuki. Liszt szczerze obraził się, gdy mu przez komplement powiedziano, że grając ozdobił Beethovena swojemi dodatkami. W Berlinie, gdy dyrektor orkiestry chciał dla mocy jedną nutę w operze Glucka zdublować, potrzeba było tę

*) ...Gwizdanie ptaka, ryk zwierzęcia, są w muzyce takiej wagi jak zwykłe uderzenie jednego ciała o drugie, prostym dźwiękiem chwycającym się w interwale kilku tonów, bez myśli, a nawet bez muzycznej czystości.
Ankiewicz.

*) Ce n'est cependant qu'à l'homme familiarisé avec la règle qu'il est quelquefois permis de la violer, parceque lui seul peut sentir, qu'en pareil cas la règle n'a pu suffire.
Grétry.

trudność dać do zrozumienia radzie artystów pod prezydencją Spontiniego i Meyerbeera. Koncertyści robią z obcemi kompozytami jak ci, którzyby swojemi słowami opowiedzieli Maryą albo Gaiura. W poezji nie tylko myśl, forma, ale i wyrażenie szanowaniem być powinno. Już dawniej Berlioz mocno powstawał na *arranzatorów* i grających, za niesumienne wykonywanie dzieł mistrzów, ale publiczność obojętna na rzetelne piękno, przyjmowała wszystko z poklaskiem, byle się zabawić jakim bądź kosztem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Obrzęd ślubny.

* Wiedeń, 25. kwietnia. Dnia 22. b. m. już od rana panował wielki ruch w mieście, wszystko co tylko było wstanie wyruszyło do Nusdorf, Währing, Döbling i innych przybocznych miejsc, któremi przejeżdżać miała dostojna Narzeczoną. Powozy, fiakry, omnibusy, piesi, konni wymijali się na przemian, spiesząc nad brzegi Dunaju. Całe wybrzeża, trybuny i wzgórze były okryte nieprzejrzaną mnogością osób, pomimo wiatru i ogromnej ilości kurzu który zasypywał oczy ciekawej publiczności; lecz Wiedeńczyków nigdy nie odstraszy, jeżeli tylko nastęcza się jakie widowisko. Każdy jak mógł zajął swoje stanowisko, i już od godziny 12tej niecierpliwie oczekiwano przybycia statku „Franz Joseph”. Wszyscy mieli wlepione oczy ku zachodniej stronie Dunaju; dopiero o godzinie wpół do 4tej pokazał się w oddali jakiś czarny punkcik a już zahuczano chórem „to oni jada.” Wkrótce huk dział zawiadomił o zbliżającym się statku, który unosił na sobie drogą dla kraju osobę.

O godzinie 4tej przybił statek do lądu; Najasniejszy Pan wskoczył pierwszy, wprzód jeszcze nim zdołano pomost założyć, a uściśkawszy swoją narzeczoną, z którą przed kilką dopiero godzinami rozstał się w Linzu, przedstawił Ją generałom: Radeckiemu, Schlikowi, Grünemu, podał Jej rękę i nie czekając przemowy burmistrza, odprowadził do karety. W Schönbrunn, czekała niemięj licznie zgromadzona publiczność na dziedzińcu, zaś na balkonie pałacu dostojni członkowie rodziny cesarskiej, generałowie i znaczniejsi dygnitarze państwa. Wszędzie radosne *vivat* towarzyszyło przejazdowi Najjaśniejszej, która zaraz w pierwszej chwili zjednała sobie serca wszystkich Wiedeńczyków. Nazajutrz całe miasto jakby za pomocą czarodziejskiej laski przywdziało świąteczną suknię. Wszystkie domy zostały wytwornie przystrojone dywanami, kwiatami i tym podobnemi ozdobami; sztandary powiewały na wszystkich wieżach i bramach, cała ulica od Teresianum do karyntyjskiej bramy zamieniła się w aleję ogrodu, przyozdobioną wonnemi kwiatami. Od rana tłumy ludu cisnęły się po wszystkich ulicach mimo dość częstego deszczu. O godzinie drugiej wyjechała dostojna Narzeczoną w towarzystwie swej matki, księżny Lułwiki bawarskiej z Schönbrunn do Teresianum, gdzie we dwie godzin dopełniona była toaleta.

Najjaśniejsza Narzeczoną miała jedwabną różową suknię, a po wierzchu teje białą koronkową; na głowie brylantowy diadem i wieniec z naturalnych różowych i białych róż, przepaska sukni była wysadzana drogiemi kamieniami, z ramion spadały wstążki. Wyjazd nastąpił o kwadrans na piątą. Najwspanialszy widok przedstawił się na moście Elżbiety. Najprzód pokazał się oddział ułanów, potem jechali konno koniuszowie, ochmistrze, szambelanowie, tajni radcy, generałowie i wyżsi oficerowie, wszyscy parami ze swojemi ludźmi po bokach; dalej postępowało konno wielu węgierskich magnatów w wspaniałych narodowych strojach, bogato złotem i drogiemi kamieniami ozdobnych, każdy z nich poprzedzany od licznej świty swej służby; dalej postępowali w posztych karetach i licznym dworem

Rozmaitość.

otoczeni dygnitarze państwa, pierwsi szambelani, potem jechał konno oddział dworskiej żandarmeryi, za niemi pазie i przyboczna cesarska gwardya z halabardami. Nareszcie postępowała w ośm białych koni zaprzężona wspaniała koronacyjna karetą, w której siedziała dostojna Narzeczona obok księżny Ludwiki matki swojej.

Za zbliżeniem się do bramy karyntyjskiej uderzyły z wałów działa i wszystkich kościołów dzwony; tysięczne wiwaty rozlegały po powietrzu, a młoda narzeczona wzruszona do łez, dziękowała za ten dowód przychylności ukłonami na obie strony. Przeszło dwadzieścia sześć konnych karet najzuważniejszej szlachty i duchowieństwa towarzyszyło temu pochodowi; pomiędzy innymi kardynał prymas Scitowski, książę arcybiskup Rauscher, arcybiskup Baraniecki, książęta Schwarzenberg, Esterhazy, Lichtenstein, hrabiowie Wickenburg, Palfy, Baworowski i wiele innych członków dostojnej szlachty. Gdy cały pochód znajdował się na Bellaria, a wóz koronacyjny zbliżył się do przedzianka pałacowego, wtedy pokazał się Naj. Pan z odkrytą głową w towarzystwie księcia ochmistrza Lichtensteina i ks. Lobkowicza, wyszli także naprzeciw Arcyksiążę Franciszek Karol i Arcyksiężna Zofia. Naj. Pan wysadził z karety swoją Narzeczoną, uściskał ją, podał jej rękę i odprowadził do apartamentów Burgu.

Dnia 24. z rana we wszystkich kościołach Wiednia odprawiano się solenne nabożeństwo za pomyślność dla dostojnej pary nowożeńców. O godzinie 5. powstał nowy ruch w mieście. Mnóstwo ludzi cisnęło się ku Burgowi i do kościoła Augustynów. Ekwipace ambasadorów, magnatów i dygnitarzy państwa zajeżdżały do pałacu. O godzinie w pół do 7. zgromadzono się do apartamentów, skąd ruszył pochód przez krąganki pałacu do kościoła.

O samej 7. godz. bicie dzwonów zapowiedziało zgromadzonym w kościele Augustynów, iż pochód ślubny się rozpoczął. Naprzód szli paziowie dworscy, potem c. k. radcy tajni i wysocy urzędnicy dworu. Za tymi postępowali Ich Cesarzewiczowski i Królewskie Moście Arcyksiążęta Austriacy, którym towarzyszyły wielcy ochmistrze ich dworów. Za Arcyksiężętami szedł **Cesarz Jego Mość**, w białym uniformie feldmarszałka z wielką wstęgą orderu s. Huberta. Cesarzowi Jegomości towarzyszyli c. k. wielki szambelan hrabia Lanckoroński, pierwszy adjutant jeneralny fmp. hrabia Grünne i kapitan gwardyi przybocznej. Dalej Arcyksiężna Zofia z dostojną Narzeczoną a po jej lewej stronie księżna Ludwika bawarska matka, w końcu postępowaly damy pałacowe.

Przy wejściu do kościoła zabrzmiała muzyka. Przepych i blask jaki tam panował tak w ozdobie świątyni jako też i strojach obecnych, jest nie do opisania. Narzeczona Naj. Pana miała na sobie suknię z ogonem ze srebrnej mory, haftowaną złotem, mirtową girlandę, kosztowny dyadem, ten sam który Jej Ces. Mość Arcyksiężna Zofia miała w dzień ślubu swego, i welon koronkowy spadający na plecy i mirtem przymocowany. Naj. Pan i Jego Narzeczona zajęli przeznaczone dla siebie miejsca, gdzie klęcząc zasyłali modły do Stwórcy, podówczas pałacowy kapłan podał arcybiskupowi ślubne pierścienie, aby je pobłogosławił. Potem udalisz dostojni Nowożeńcy do stóp ołtarza, gdzie Naj. Pan po prawej, a Jego Narzeczona po lewej stronie uklękli. Książę arcybiskup miał krótką przemowę, potem podał dostojnym Nowożeńcom złotą tacę ze ślubnymi obrączkami, którą do rąk odebrawszy, nawzajem sobie pierścienie na palce włożyli, po czem arcybiskup dopełniał ceremonii ślubu. W tej chwili zagrzmiąły działa a miasto zostało uwiadomione, iż akt ślubny został dokonany a kraj posiada Cesarzową.

Po odbytej ceremonii wrócono w tym samym porządku do Burgu, gdzie goście byli przyjmowani przez Naj. Cesarstwo. — Dziś wieczór świetna illuminacya, na której obejrzenie Cesarstwo wyjadą. — Jutro théâtre paré; pojutrze bal dworski, w sobotę festyn ludu.

Obech przybyłych do Wiednia na tę uroczystość jest 120.000. Temperatura chłodna, dziś rano śnieg pruszył.

Opis Mikołajowa, miasta z wojennym portem nad Czarnem morzem ...Przybyliśmy do Mikołajowa po moście na łodziach, rzuconym jeszcze na Ingule; dalej rzeka ta łączy się z Bohem. Ta sama rzeka, cośmy ją w Elisawetgradzie przejechali w bród, tu już nosi na sobie wojenne okręta, bo nad nią położony jest okrętowy warsztat. Miasto zbudowane na półwyspie, znacznie podniesionym, wchodzącym pomiędzy te dwie rzeki. Stąd się zaczyna bużski liman. Prześliczny widok miasta od mostu; zielone bulwary; wielkie białe domy, umajone majową zielenią białej akacji; tam na prawo admirałska bandera powiewa z ogrodu mieszkania admirała; po lewej stronie ciągną się wielkie zabudowania admiralicji, w głębi, liczne wieże cerkwi, na dole w porcie długie szeregi kotwic, z których jedna waży 260 pudów; parowe statki z banderami kupieckiej marynarki, z których słychać sygnały piszczałki; szeregi innych statków, których gęsto rysują się w powietrzu drabinki i ciągną ruch łodzi u brzegu. Mikołajów jest miastem wojennem morskim, jak Elisawetgrad jest miastem wojennem lądowem.

Ulice nadzwyczaj szerokie, ale nie brukowane i bez trotoarów. Domy wielkie, zwyczajnie bez pięt, białe i ocienione akacją białą, której świeży zielony kolor majowy tak prześlicznie odbijał od tego tła domów. Przedewszystkiem zwiedziliśmy port. Statków było mało; dwa tylko parowe, które w przód widzieliśmy z za rzeki: jeden był Północna gwiazda, drugi błyskawica. Spód malowany czarno, z zielonemi ławkami na pokładzie; czysty jak salon; od słońca na tylnym pomoście biały baldachin wzęby, który poruszał lekki wietrzyk. Bandera handlowej marynarki w pasy, biały pomiędzy dwoma karmazynowemi, a na nich jasnobłękitny krzyż świętego Jędrzeja. Wszystko nas tu zajmowało, wszystko było dla nas nowe. I widok odpływającego wojennego szkuteru, na pokładzie którego chodził szyldwach, a majtkowie podług sygnału piszczałki, drapali się na maszty i spuszczaali żagle; i widok olbrzymich dział spiżowych i ogromnych kotwic, leżących tu długimi rzędami i nareszcie piramid kul i bomb dających wzdłuż wybrzeża Bohu. Były tu także stosy przepiłowanych, dział mosiężnych, sprzedanych kupcom za granicę. Mnóstwo snuje się tu majtków mazurów. W ich mowie oficjalnej usłyszysz akcent mazowiecki, ale już i po polsku mówią tą samą łamaną mową. Majtkowie w ruskiej marynarce, oprócz mazurów, bywają jeszcze żydzi, których łatwo jest poznać po odętych wargach i wiecznie jakby zaspanych oczach, i nareszcie Niemcy z nadbałtyckich prowincji.

Mikołajów założony 1789 roku, tego samego w którym de Rindas wziął był turecką fortecę Chadży-Bej. Budowanie miasta poruczone zostało Krigskomisarzowi Fatiejewu, jednemu z liczby tych bogatych kupców, którzy pozyskali byli sobie ufnosć Ks. Potemkina.

Z portu poszliśmy chodzieć po mieście. Zaszliśmy do Katedry. Architektura wcale nieładna; niziutka, okrągła na kwadratowym korpusie, do którego z trzech stron dodane są frontony z kolumnami służące za wschody; na przodzie umieszczona jest druga wieża w kształcie głowy cukru. Widać, że ten abrys kościoła podoba się tu bardzo, bo niedaleko jest druga taka sama cerkiew, i w Bobryńcu widziałem główną (i zdaje się jedyną) cerkiew z podobną koniczną kopułą na przodzie. Ten staro-chersoński styl nie jest wcale piękny. Widziałem na drugiej stronie miasta bardzo ładną, wielką, tylko co ukończoną cerkiew. Przypomina ona kopułą swoją rysunek kopuły Świętego Piotra w Rzymie. Wszystkie nowe cerkwie w noworossyjskim kraju nie są bizantyńskiego stylu; architektura ich zbliża się do stylu odrodzenia (renaissance). Wnętrza też cerkwi nie są tak upstrzone złożeniami i obrazami świętych; w nawie pod kopułą zwyczajnie czterech ewangelistów; kilka obrazów po ścianach, kilka w ikonostasie, gdzie niegdzie gustowne arabski, wszystko eleganckie, ale bez charakteru. Stare cerkwie Kijowskie mają swój właściwy styl i charakter; mówią one od razu o wschodzie, o Bizancyi, skąd przyszedł ten duch co je natchnął.

Śliczny widok z bulwaru na Inguł i Bug, z tamtej strony widać piękną wieś grafa Lamberta, Warwarówkę; pod nogami port, okręta, powiewające flagi, ewolucje na statkach i snujące się w różnych kierunkach łodzie; z prawej strony admirałicya, z lewej sine wody Limanu. Do bulwaru przytyka ogród i mieszkanie admirała z którego powiewa flag admirałski: tu strzelają z dział o wschodzie słońca i w południe. Tu tylko na bulwarze bywa wieczorami trochę ruchu, kilku oficerów, kilka kobiet, kilkoro dzieci i kupców Karaimów. Na kilka dni przed naszym przybyciem, Mikołajów był więcej ożywiony, bo zwiedzał go W. Ks. Konstanty. Z drugiej strony Mikołajowa, na Limanie, jest przystań statków kupieckich. Tam stoją pocztowe paropływy, odchodzące do Chersonu i Odessy. Miejsce to nazywa się popową bałką.

Domy, jakby białe kwiaty, kryją się w zieleni liści białej akacyi: Pusto, głucho, zaledwo przejedzie doróżka, przejedzie oficer, szturman, pisarz admirałicyi, jakiś odstawny majtek, przesunie się kobieta i przejdzie gwarząca kupa Karaimów o wschodnich rysach. Ulice szerokie, zarosłe trawą; dalej domki, kryte oczeretem, przy innych pokrytych czerepią. Całe miasto pocięte regularnie na czworoboczne kwadraty. Kilka wielkich, publicznych gmachów. Największym jest zakład naukowy drugiego morskogo ekwipażu. Nie wiele piękności w rysunku, bo musiano tu mieć głównie na względzie pożytek i wygodę. Nim dostaliśmy się do przystani, musieliśmy przechodzić po wcale nie aromatycznych ulicach rzeźnickich, gdzie biją owce na sałhan i gdzie topi się łój, bez którego nie mielibyśmy tych pięknych, białych jak alabaster świec stearynowych, bo też stear, po grecku nic innego nie oznacza jak tylko łój. U grobli paropływ Dargo wypoczywa po swoich kursach. Elegancki statek ten o jednej maszynie, nosił na sobie wszystkie cechy aegielskiego komfortu; poruszając od mahoniowych drzwi kajuty, a kończąc na miękkich kaulpach, obitych ałtasową, włosienną materją.

Na drugi dzień poszedłem do jedyne go tu kościoła katolickiego Ś-go Mikołaja. Było pusto, tylko jakiś majtek, chodzący o kuli, kłęczał i modlił się serdecznie, tak jak się tylko modlą cierpiący chorzy i nieszczęśliwi. Mały chłopiec w długiej komeżce z czerwoną pelerynką, uwijał się około ołtarzy.

Wyszedłem za miasto. Ciągnie się długi ogród morwowy, zasadzony dla jedwabników; tu stoi telegraf znoszący się z telegrafem Oczakowskim a ten z Odeskim. Dwoch czy trzech żołnierzy pilnuje sygnałów; siedm znaków i wszystko można niemi napisać. Nie wiem jak to się dzieje, chociaż widziałem tu i dykcyonarze sygnałowe. W tem ogrodzie trochę opodal jest obserwatorium astronomiczne; astronomem jest tu Knor, brat profesora fizyki w Kijowie. Pozwolono nam było zwiedzić ten zakład. Ztąd udałem się do admirałicyi i grzeszny oficer deżurny pokazał mi wszystkie jej osobliwości.

Tu w admirałicyi wszelkiego rodzaju rzemieślnicy pracują pod przewodnictwem najlepszych zagranicznych majstrów: mosiężnicy, ludwisarze, kowale, ślusarze, stolarze. Tu są ogromne składy palisandru, mahoni i orzechowego drzewa.

Kto chce widzieć umeblowane pokoje, niech zwidzi np. Cesarski parowy statek Gromosiec; tu gust i przepych osobliwszy; meble z jakiegoś amerykańskiego drzewa, wyglądającego jak żółty marmur. Mówiono mi, iż przywiezione je ze Stanów Zjednoczonych; zowie się ptasim okiem. A tam leżą dalej i świdrują armaty, kręcą liny, szyją żagle z parusiny, dla wyprubowania macy której wieszają w niej 40 pudów ciężaru!

Zwiedziłem szkołę dla córek majtków: uczą je tu czytać, pisać, religii i robót.

Przyjechali dnia 26. 27. i 28. kwietnia do Lwowa:

PP. Bal Franciszek, z Tuligłów. Dębicki Wiktor, z Słowity. hr. Włodzimierz Dzieduszycki, z Przemysła. Krajewski Leon, z Tyrawy-wołoskiej. Loziński Józef, z Jaworowa. hr. Cezar Męciński, z Dukli.

PP. Antoniewicz Mikołaj, z Żółkwi. Augustynowicz Zygmunt, z Sądowejwiśni. Czajkowski Kajetan, z Huminiec. Delinowicz Antoni, z Tarnopola. Daczyński Julian, z Ulhówka. hr. Kazimierz, Dzieduszycki, z Niesłuchowa. hr. Alexander Dzieduszycki, z Izydyrówki. Janiszewski Stanisław, z Żółkwi. Kielanowski Jan i Tytus, z Żelechowa wielkiego. Krogulski Józef, z Brzozdowiec. Krzyżanowski Ksawery, z Sopszyna. Madejski Marcel, z Tołczowa. Schwajkart Karol, z Tarnopola. Tyniecki Erazm, z Bonowa. Wiśniewski Ludwik, z Putiatycz. Zatorski Maxymilian, z Zaluża.

PP. hr. Alexander Cetner, z Krakowa. Czernski Wincenty, z Stanisławowa.

Wyjechali dnia 26. i 27. kwietnia ze Lwowa.

PP. hr. Borkowski Włodzimierz, do Tarnopola. Jędrzejowicz Kazimierz, do Czapl. hr. Franciszek Komorowski, do Tarnopola. Orłowski Kalixt, do Tłustego. Padlewski Alexander, do Podhajec. Torosiewicz Emil, do Podhajec. hr. Franciszek Wiesiołowski, do Tarnowa.

PP. Czerkawski Józef, do Złoczowa. Kwiatkowski Wojciech, do Hermanowic. Prawecki Mareeli, do Krakowa. Schaulawy Wencel, do Krakowa. Witosławski Władysław do Kołomyi. Wolski Marcin, do Kamionki. Zdański Franciszek, do Stryja. Żebrowski Tadeusz, do Żurawna.

Dzisiejszy.	Kurs lwowski.	Gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 6	kr. 10	złr. 6 kr. 14.
Dukat cesarski	" 6	" 12	" 6 " 16.
Półimperyał zł. rosyjski	" 10	" 50	" 10 " 58.
Rubel srebrny rosyjski	" 2	" 7	" 2 " 8.
Talar pruski	" 2	" 3	" 2 " 4.
Polski kurant i pięciozłotówka	" 1	" 32	" 1 " 32.
Galicyskie listy zastawne za 100 złr.	" 91	" 50	" 92 " 10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amsterdam.	114 1/2	Marsylia	—
Augsburg za 100 złr.	136 1/4	Medyolan za 300 lirów	133 1/2
Bukareszt	—	Paryż za 300 franków	160.
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Agio duk. ces.	—
24 1/2 stopy	136.	Srebra agio	36.
Genua.	—	Pożyczka 5% 85 1/2, 4 1/2	76 1/4
Hamburg za 100 tal. banco.	101.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol.	—	Akcy banku	1198.
Liwno.	—	Kolej północna	2267 1/2.
London za 1 funtszterl.	13. 17	Obl. ind.	5% —

(68) Hermann Kothe (2-2)

wird in einem öffentlichen Vortrage für Damen und Herren eine Reihe von Proben seiner

Gedächtnisstärke

ablegen und die sehr einfachen Regeln mittheilen, wornach Jeder in ganz kurzer Zeit eine gleiche Gedächtnisstärke gewinnen kann. Tausende von Zuhörern **Hermann Koth**es in fast allen Haupt- und vornehmeren Städten Deutschlands verdanken seiner Darstellung ein vorzügliches Gedächtniss.

Dieser Vortrag wird stattfinden zum ersten und letzten male: Sonntag den 30 April, Abends 7 Uhr im Redoutensaale.

Der Eintritt ist, bis auf 10 kr. zur Kostendeckung frei.

TEATR POLSKI.

WPoniedziałek: Umarli i Żywi, dramat J. Korzeniowskiego.